Ostrów oklaskuje koncertantów, dzieci z Andrzejewa nie chcą Rosjanki, podchorążacy z Komorowa ponoszą klęskę, zamiera spółdzielczość w Sterdyni

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Wspólny występ chóru Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej i chóru „Harfa”, pod dyrekcją prof. Lachmana 18 marca 1833 r., w Teatrze Wielkim w Warszawie, na uroczystej akademii zorganizowanej z okazji imienin marszałka Józefa Piłsudskiego[1].

W stolicy ziemi ostrowskiej miała miejsce uczta dla ducha. Miasto nawiedziła panna Józefa Kurtzówna (po wyjściu za mąż Kurtz-Wodosławska), która śpiew studiowała m.in. w Mediolanie, a poza sceną ostrowską występowała m.in. w Teatrze Wielkim w Warszawie. Pani Józefa była gwiazdą, ale i pozostali artyści cieszyli się sporą, choć raczej prowincjonalną sławą. O panu Józefie Górnickim piotrkowska gazeta pisała, iż „umie wykrzesać ze swych opowiadań prawdziwą iskrę humoru i rozbawić słuchaczów”[2].

Lata 1905-1907 to okres obfitujący w patriotyczne wystąpienia. Aktywnie uczestniczący w tych wydarzeniach andrzejewski nauczyciel Kęsicki został aresztowany, osadzony w więzieniu i zdymisjonowany, a jego miejsce zajęła nieznająca języka polskiego Rosjanka. Dzieci bojkotują zajęcia.

Kiepsko sprawiła się reprezentacja Szkoły Podchorążych z podostrowskiego Komorowa, ulegając wiosną 1918 r. Polonii Warszawa w meczu rozegranym na Agrykoli. Nie był to byle jaki obiekt, bo swoje mecze rozgrywała tam także reprezentacja Polski. W obronie sprawili się podchorążacy jako tako, w ataku zaś zawiedli zupełnie.

W każdej miejscowości regionu, a przynajmniej w każdym miasteczku i większej wiosce powinien znaleźć się kronikarz podobny dr. Adamowi Jarosińskiemu. Redakcja miałaby wówczas o czym pisać do końca świata, a może nawet dłużej. Sterdyński doktor opowiada tym razem o rozkwicie ruchu spółdzielczego w Sterdyni po wojnie japońskiej i rewolucji 1905 r. Co dziwne, wraz z odzyskaniem niepodległości spółdzielczość zaczęła zamierać. Zdaje się, że było to zjawisko dość powszechne, bo podobnie potoczyły się losy inicjatyw oddolnych w Małkini, o czym już wielokrotnie donosiliśmy.

Pan Franciszek zwierzył się redakcji, że coraz trudniej przychodzi mu porozumienie się z otoczeniem, unika rozmów nie tylko z bliskimi, ale nawet sąsiadami, więc pyta, czy jest z nim coś nie tak?

Drogi Czytelniku, jest wręcz przeciwnie, gdyż według redakcji to objaw zdrowy i pożądany, świadczący, iż pańskie podejście do życia (zapewne pod wpływem zamieszczanych tu lektur) staje się coraz bardziej racjonalne.

Załóżmy, że pański interlokutor ma takie samo zdanie w poruszanych tematach, jak Szanowny Pan. Wtedy, rzecz jasna, rozmowa nie ma najmniejszego sensu i jest tylko stratą czasu. Kończy Pan dyskusję z wrażeniem, że pański towarzysz to sakramencki nudziarz… i nawzajem.

[1] „Rzeczpospolita Podchorążacka”, R. 3, nr 13 z 6 sierpnia 1933 r.
[2] „Tydzień”, nr 3 z 19 stycznia 1902 r.

Teraz sytuacja odwrotna, co znaczy, że pański rozmówca ma zdanie całkowicie odmienne, w każdej poruszanej kwestii. Naturalnie, nie dojdziecie do porozumienia w żadnej sprawie, a zatem… rozmowa nie ma najmniejszego sensu i jest tylko stratą czasu. Wszystko skończy się na tym, że rozstaniecie się jako wrogowie i będziecie powszechnie głosić nowinę, że ten drugi to głupek, kompletny szaleniec lub co gorsza… agent wrażego wywiadu.

Strzeżmy się zatem rozmów i to w prawie każdej sytuacji. Dajmy na to, że celem konsumpcji trunku chmielowego, wybierze się Pan z kolegą do lokalu powszechnego żywienia i pojenia. Oczywiście jako stały czytelnik tego zakątka Internetu, a zatem człowiek racjonalny i w 99,9% rozsądny, zajmie Pan stolik z boku, za jakimś filarem, tak, aby znaleźć się najdalej od innych biesiadników. Łudzi się Pan, że spożyje ambrozję w spokoju, ale to nadzieja płonna. Lokal jest bowiem pełen indywiduów, które mają o wszystkim swoje własne zdanie i nie spoczną, póki zdaniem tym nie podzielą się z innymi. Krążą zatem po sali, niby to szukając znajomego czy toalety, a tymczasem przysłuchują się rozmowom toczonym przy stolikach.

Wystarczy jedno zdanie, jedno nieopatrznie rzucone słowo, aby taki osobnik poczuł się upoważnionym, żeby przysiąść się do pańskiego stolika, a następnie Pana oraz pańskiego kolegę oświecać, znaczy się nieść kaganiec oświaty i kagańcem tym spętać. Wbrew pozorom, osób zapoznających się z zamieszczanymi na tej stronie materiałami, a zatem kierujących się zdrowym rozsądkiem, nie ma w narodowym kolektywie nazbyt dużo. Istnieje więc graniczące z pewnością prawdopodobieństwo, że towarzysz konsumpcji uzna za konieczne podjęcie dyskusji i zacznie przekonywać intruza do swej własnej opinii na temat dowolny. Sytuacje takie kończą się zawsze podobnie. Pan będzie wielce zajęty zliczaniem rys na blacie stołu lub na suficie, podczas gdy obaj dyskutanci będą podnosili głos coraz wyżej, wymiana zdań stanie się coraz gorętsza i zaczną padać wyzwiska. Skończy się na wymianie płynów fizjologicznych w formie plwociny oraz wzajemnym oblewaniu oponentów trunkami, przy czym ucierpi i pańska garderoba. To oczywiście scenariusz optymistyczny, gdyż skutkiem rozbicia kufla, uszczerbku może doznać i pańska zacna głowa.

W którym momencie popełnił Pan błąd? Odpowiedź nasuwa się sama, a mianowicie w chwili zajęcia miejsca przy stoliku przez obcego, powinien Pan odejść. To oczywiście odpowiedź najprostsza, a zatem błędna, bo przecież wystarczyło dokonać konsumpcji w milczeniu, nie prowokując typków, krążących wokół niczym żądne krwi barakudy. Jeżeli ktoś nie wie, jak komunikację z otoczeniem ograniczyć do minimum, to prosimy o obejrzenie filmu *Lot nad kukułczym gniazdem* i zainspirowanie się postacią lekko nadwymiarowego Indianina (zdaje się, że powinno się pisać „rdzennego Amerykanina", ale redakcja nie jest pewna, bo w filmie używano terminu Indianin).

Wyżej opowiedziana historia rozegrała się w punkcie gastronomicznym i służyła jedynie za przykład, z którego każdy rozumny człowiek winien wyciągnąć naukę. Ludzi z niewyparzonymi gębami, którzy pragną nawiązać rozmowę, by koniecznie podzielić się swym zdaniem, spotykamy jednak wszędzie: oczekując na lekarza w przychodni, w samolocie, w pociągu, a nawet w publicznej toalecie. Miejscem najbardziej niebezpiecznym są naturalnie wszelkie zebrania, tam bowiem zawsze znajdą się szajbusy, które pragną forsować swe najbardziej odjechane pomysły.

Jak odizolować swą własną osobę i nie ulegać prowokacjom we wrogim, a zatem w każdym środowisku? Metody bywają różne. Redaktor Zenek zawsze trzyma w uszach słuchawki, udając, że niby taki z niego meloman. Oczywiście, to tylko pozór, bo niczego nie słucha, a

słuchawki to tylko znak oznajmiający różnym zapaleńcom: „Jestem do diaska zajęty, zostawcie mnie w spokoju!”. Gdy jednak jakiś cudak zechce nawiązać rozmowę, to Zenek zaczyna podrygiwać, rytmicznie ruszać stopą, udając, że z niego też jest niezły dziwak, tyle że na punkcie muzyki, a zatem fiksat niekompatybilny z narwańcem od dysput.

Wszystko, co powyżej napisano, dotyczy nie tylko dyskusji na najniższym szczeblu. Redakcja oglądała jakiś czas temu film, opowiadający o niejakiej Helenie. Nie pamiętamy dokładnie, gdzie rozgrywała się akcja. Na terenach obecnej Turcji? A może na Karaibach? Nieważne. Istotne, że z tej Heleny była całkiem do rzeczy kobitka, a zatem o jej wdzięki ubiegało się wielu absztyfikantów. Jeden z nich dokonał gwałtu na jej prawach i ją porwał, co nie przypadło do gustu innemu zalotnikowi… a może mężowi? Trochę czasu minęło, więc redakcja nie jest w stanie przypomnieć sobie nazwisk tych kochasiów, ale pierwszy… zdaje się, że miał na imię tak, jak stolica pewnego państwa… chyba… Paryż. Tak, Paryż na chrzcie mu dali (rzeczywiście był z niego elegancik, taki śliski, wymuskany bawidamek). Ten drugi był strasznym awanturnikiem i nadużywał wina, więc nie dziwota, że Menel na niego wołali. Ten ostatni zaczął pertraktować, a Paryż niepotrzebnie podjął dysputę. Spierali się. Menel krzyczał „oddawaj”, a Paryż: „Całuj się w nos Menelu, w życiu nie oddam babeczki!”. Wymiana zdań stawała się coraz ostrzejsza, niesnaski się dwoiły i troiły (stąd zapewne tytuł filmu), i jak w opisanym wyżej przypadku zaczęły jej towarzyszyć obelgi i wzajemne oblewanie napojami. W końcu doszło do wojny, w której zginęły dziesiątki niewinnych ludzi, a poważnych uszkodzeń doznała zwarta zabudowa skądinąd całkiem sympatycznego miasta.

Oczywiście i w tym przypadku, winną rozgrywającego się na ekranie dramatu była dysputa. Gdyby amatorzy cnót niewieścich ze sobą nie rozmawiali, to spór nie uległby eskalacji. Menel zacząłby dostrzegać uroki innych dam i koniec końców pogodziłby się ze stratą, mówiąc: „A co mi tam, szkoda życia na uganianie się za laseczką. Tego kwiatu jest pół światu”.

W intrygę wmieszał się jeszcze koń. Zwierzę wykonano z materiałów łatwopalnych, co jak się słusznie czytelnicy domyślają, wróżyło kłopoty. O koniu opowiemy jednak przy innej okazji, zatem miłośników hippiki prosimy o baczne śledzenie publikowanych tu materiałów.

Nie trzeba nazbyt interesować się historią, aby wiedzieć, że prawie każdą wojnę poprzedzają negocjacje, które zamiast łagodzić, tylko zaogniają sytuację. Gdyby negocjacji nie toczono, to strony zapomniałyby, o co spór się toczy, sprawa by przycichła, ludność zaś żyłaby sobie spokojnie.

Ha! – krzyknie Pan – Eureka, już nigdy nie podejmę dyskusji!

To z kolei nazbyt szybka i przesadnie gwałtowna reakcja. Międzynarodowe dysputy o bardzo ważnych sprawach odbywają się zwykle w miejscach oddalonych i niezwykle atrakcyjnych turystycznie, klimatycznie oraz krajobrazowo: na Bali, na Hawajach, czy dajmy na to w Davos. Zbiera się towarzystwo wzajemnej adoracji i duma, jakby tu gdzieś wyjechać, dobrze zjeść, sporo wypić, nieźle się zabawić i nie wydać z własnej kieszeni choćby złotego, euro, rupii, peso czy dolara. Wpadają na pomysł – Polećmy na Seszele i pogadajmy o klimacie! – No i wsiadają w odrzutowce, i lecą, a w wolnych od konsumpcji i zabawy chwilach wygłaszają mało lub nic nieznaczące referaty. Kto wie, może i Panu zostanie zaproponowane wygłoszenie referatu na Malediwach czy innym Mauritiusie. I co Pan wtedy powie – Nie dziękuję, nie uczestniczę w żadnych dyskusjach! – Proszę lecieć i nie zapomnieć o spakowaniu słuchawek.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 44 z 2 czerwca 1900 r.]

Z Ostrowia. Dnia 27 maja staraniem p. Wąsowskiego, naczelnika miejscowej straży ogniowej, odbył się koncert przy współudziale p. Józefy Kurtzówny i pp. Maurycego Kruszewskiego – tenora, Józefa Górnickiego monologisty i Adama Elertowicza pianisty. Dość licznie jak na Ostrów zebrana publiczność, złożona przeważnie z miejscowej inteligencji, oklaskiwała mocno śpiew i grę koncertantów, którzy zadanie swe wypełnili bardzo dobrze. Obfity program w dziale muzyki i śpiewu, a także humorystycznych monologów był bardzo udatnie złożony, dowodem czego jest ogólne zadowolenie z koncertu. Na korzyść straży po opłaceniu kosztów urządzenia zostało około 100 rubli. Dochód byłby o wiele większy, gdyby okolica przybyła liczniej na ten koncert.

Przecież takie przyjemne przepędzenie wieczoru, na którym bądź co bądź odbiera się sporo wrażeń podniosłych, korzystniejszym jest i dla ciała, i dla ducha, jak przesiadywanie za zielonym stolikiem wśród obłoków dymu tytuniowego.

Mazur znad Broczyska

Józefa Kurtz-Wodosławska, fot, T. Bahrynowicz[3].

[3] „Nowości Ilustrowane”, nr 47 z 18 listopada 1905 r.

[„Naród : pismo codzienne z tygodniowym dodatkiem”, nr 41 z 19 lutego 1907 r.]

Z Andrzejewa (g. łomżyńska).

Na początku 1906 r. nauczyciel tutejszej szkoły p. Kęsicki był aresztowany za napisanie uchwały gminnej i osadzony w więzieniu na 3 miesiące, prócz tego władze szkolne udzieliły mu dymisji.

Na miejsce p. K. została mianowana Rosjanka. Dzieci zaprotestowały przeciw temu i zaprzestały uczęszczania do szkoły. Prawie cały rok gmina wypłacała nauczycielowi pensję, pomimo, że dzieci do szkoły nie chodziły. Jednocześnie zaś gmina starała się u wyższej władzy o uchylenie rozporządzenia naczelnika dyrekcji, mocą którego Rosjanka, nieposiadająca wcale języka polskiego, zajmowała posadę nauczycielki w szkole polskiej.

Z początkiem br. na miejsce wyżej wspomnianej nauczycielki mianowany został do naszej szkoły p. T., Polak, co ogół nasz przyjął z zadowoleniem, a dzieci tłumnie zaczęły uczęszczać do szkoły.

Nadmienić należy, że w m. Ostrowiu już od kilku lat w początkowej szkole żeńskiej jest nauczycielka Rosjanka, nieposiadająca języka polskiego, pomimo że do szkoły uczęszczają wyłącznie dziewczątka polskie. Mieszkańcy widocznie zadowoleni są z jej systemu nauczania, bo w szkole jest dzieci ponad komplet.

[„Głos”, nr 88 z 2 kwietnia 1918 r.]

„Polonia” – „Podchorążowie”
(5:0)

W poniedziałek rozegrano na boisku w Agrykoli niezwykle interesujący mecz piłki nożnej, będącym jednym z najpiękniejszych zwycięstw „Polonii”.

Pomimo osłabionego składu, w jakim wystąpiła drużyna warszawska, wykazała ona dużo inicjatywy w ataku i wiele zgrania w pozostałych częściach drużyny.

Owe pięć bramek, które wydarła drużynie „Podchorążych” przyszły jej jednak niełatwo. Podchorążowie bowiem choć słabi w ataku, dzielnie trzymali się w „pomocy” i w obronie.

Ze zwycięskiej drużyny wiele zasłużonych oklasków zbierał p. Zantman (lewe skrzydło ataku).

Sędziował p. Pronaszko.

Publiczności zebrało się bardzo wiele.

[„Kurjer Polski”, nr 89 z 3 kwietnia 1918 r.]

„Polonia” – „Szkoła Podchorążych”
5:0

Jeden z najzaszczytniejszych w karierze Polonii meczów rozegrano onegdaj w Agrykoli przy licznym napływie publiczności. Przez cały czas gry drużyna stołeczna górowała nad gośćmi. W 35-ej minucie pierwszą bramkę robi „Podchorążym” Nasko z podania skrzydłowego Zantmana, w czterdziestej minucie Zantman II[4] „wjeżdża” wraz z piłką do bramki. Ten wynik 2:0 utrzymuje się do przerwy.

Po przerwie w 64-ej minucie Nasko z podania Dzika robi trzecią bramkę, po czym dwie następne w 87-ej i 89-ej minucie strzela z kilku kroków Zantman II. W niespełna minutę po ostatniej bramce gra się kończy.

Zwycięstwo swe „Polonia” zawdzięcza w pierwszej linii wybornej grze swego ataku, z Naską, Hamburgerem i Zantmanem na czele. Również dobrze grał Dzik z pomocy. W ogóle „Polonia” po zimowej przerwie nie cofnęła się w kondycji. „Podchorążowie” szwankowali w ataku, zwłaszcza słaby był Litwinowicz. Pomoc, obrona i bramkarz (poza fatalnym opuszczaniem bramki), była znacznie lepsza.

Sędziował czujnie i spokojnie Lech Pronaszko.

Sypialnia w Szkole Podchorążych Piechoty w podostrowskim Komorowie[5].

[4] Jako Zantman II występował Stanisław, natomiast Ludwik jak Zantman I.
[5] „Rzeczpospolita Podchorążacka”, R. 3, nr 13 z 6 sierpnia 1933 r.

[„Gazeta Podlaska”, nr 9 z 2 marca 1924 r.]

LISTY ZE STERDYNI
Nasza spółdzielczość

Rząd rosyjski nie pozwalał na zakładanie u nas stowarzyszeń, nawet przy tworzeniu się towarzystw lekarskich, czysto naukowych, czyniono najrozmaitsze trudności. Najusilniej zabiegano o to, by zabezpieczać ludność wiejską od stykania się ze sferą inteligentną – tą najniebezpieczniejszą w oczach rządu klasą ludności i czyniono wszystko, by jednych do drugich zrazić.

Dopiero po przegranej wojnie japońskiej zezwolono na zakładanie po wsiach stowarzyszeń. W Sterdyni skwapliwie wzięto się do dzieła, powstało Kółko Rolnicze, Stowarzyszenie Spożywcze i Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa. Instruktorowie z Warszawy zjeżdżali do nas i pouczali, jak i co czynić, a na miejscu tutejsza inteligencja, wraz z bardziej uświadomionymi jednostkami z ludu wzięła się do pracy, ujęła ster w swoje ręce i pracowała nie dla zysku, a bezinteresownie. Właściciel Sterdyni, hr. Krasiński odstąpił na własność prawie za darmo obszerny dom, dawniejszą karczmę z zajazdem, w którym wszystkie stowarzyszenia doskonale się mieściły. Mieliśmy tam obok tego dużą salę zebrań, która jednocześnie służyła za czytelnię i herbaciarnię. Ogólne zebrania odbywały się zazwyczaj raz na tydzień, a na zebraniach miejscowa i przyjezdna inteligencja urządzała pogadanki z zakresu przyrody, higieny, poruszane były sprawy społeczne. Od czasu do czasu urządzano tam miłe taneczne zabawy.

Kółko Rolnicze posiadało swoją biblioteczkę, powstałą z ofiar i wypożyczalnię książek, stale prenumerowano dla czytelni Gazetę Świąteczną, Zorzę i gazetę Społem. Kółko nabyło parę ręcznych siewników rzędowych i pługów sprężynowych, i obsługiwało nimi swoich członków. Był wzorowy warsztat tkacki.

Tow. Pożyczkowo-Oszczędnościowe zaczęło się szybko rozwijać, udzielając kredytów potrzebującym i przyjmując oszczędności.

Najlepiej rozwijało się Stowarzyszenie Spożywcze. Rozpoczęło ono swoją działalność w 1908 roku bardzo skromnie, mając zaledwie 30-tu członków z 10-o rublowymi udziałami. Po paru latach mieliśmy już 300 członków, sklep był dobrze zaopatrzony i w nim oprócz artykułów pierwszej potrzeby, mieliśmy gotowe ubrania, obuwie, skóry, łokciowiznę, emalię i galanterię. Posiadaliśmy wspólny magiel i wagę do ważenia dużych sztuk inwentarza. Złożyliśmy już spory kapitał zapasowy, marzyliśmy o budowie pięknego ludowego domu, na który posiadaliśmy już plany i 2000 rubli gotówki. Projektowaliśmy urządzenie piekarni, rzeźni, maślarni, marzyliśmy o swoim własnym młynie, wannach etc. Członkowie nasi zaczęli pojmować doniosłość zrzeszania się, pomagali przy sprzedaży w ruchliwe dni jarmarczne, zobowiązali się zwozić bezpłatnie towar do sklepu, procenty od udziałów przeznaczali na fundusz budowy domu.

Rozwojowi naszemu i marzeniom położyła kres wojna.

Rosjanie, uchodząc, spalili nam dom wraz z towarami sklepowymi i całym naszym dobytkiem, uratowaliśmy jednak kapitał udziałowy.

Podczas okupacji nabyliśmy od dominium Sterdyń niewielki dom, otworzyliśmy sklep i ponownie zaczęliśmy wpływać na równe wody. Po ustąpieniu jednak Niemców i odzyskaniu niepodległości powiały u nas inne prądy, które uniosły nas na burzliwe fale.

Poszło hasło „precz z inteligencją" i dano tej inteligencji do zrozumienia, że jest zbyteczną, że lud wiejski już dojrzał dostatecznie, by sam sobie dał radę. Inteligencja, która pracowała ideowo, usunęła się od udziału w sprawach społecznych, a na czele naszych stowarzyszeń stanęli inni, nowi ludzie. W ślad za tym poszła nieudolna gospodarka, zaczęły się okazywać deficyty kasowe, nastąpiło rozprzężenie. Pomiędzy stowarzyszonymi powstała nowa myśl, by cztery sąsiadujące Stowarzyszenia wraz ze sterdyńskim połączyć w Związek, na czele którego stanął kierownik eksnauczyciel wiejski. Człowiek ten pełen był niewątpliwie dobrych chęci. Jednak Stowarzyszenia obciążone pensjami kierownika, buchaltera i personelu sklepowego, nie mogą utrzymać się na powierzchni i w chwili obecnej już zamierają. Potrzeba będzie wiele czasu, by ruch tak pięknie zapoczątkowany, ożył na nowo. Potrzeba nam ludzi, którzy by mieli na celu nie dobro osobiste, nie cele partyjne – potrzeba nam ideowców.

Dziś smutno się przedstawia nasza jedność polska, którą udaremniają hasła demagogiczne.

Dr A. Jarosiński

w styczniu 1924 r.